

ności wywodu. Sommer jest wyczulony na artykulacyjne trudności, choć w jego przypadku zawsze trzeba uwzględnić „poprawkę” wynikającą z ironicznego dystansu. Obecność „mówienia” i „opowiadania” splata się z symultanicznym rejestrem wielu głosów, z którego wyłonić się może informacyjny szum. Nie zawsze więc enumeracyjny potok słów potrafi ocalić przedmiot (*Ciemno, że o czym tu porozmawiać*).

Sommer podąża przez niepodobieństwa ku przyległościom, czasami bez przekonania o potocznej płynności odnajduje naturalny rytm frazy, w końcu formułując nakaz: „Czytaj, jakbyś miał słuchać,/nie rozumieć”. Język mówiony nieustannie się „rwie”, rozsypuje, dlatego jego poezja tropi naiwności i złudzenia form gotowych, językową nieporadność (autor był zawsze na podobne kwestie wyczulony, dość sięgnąć po rzeczową krytykę przygotowanej niegdyś przez Krzysztofa Karaska edycji wierszy Benna). Granice wersu, stroficznej segmentacji, „podwójne” zabezpieczenie przestrzeni strony i okładkami książki, niebezpieczeństwo nazbyt finezyjnego konceptu – to wszystko wpływa na stan lingwistycznej gotowości, skoro „w takim lesie/daleko nie zawędruje składnia” (*Podmiejski*). Ale, powie ktoś, składnia jest przecież systematyzacją, przyjęciem ustanowionej hierarchii i zależności, znakiem porządku... Cóż, odpowiedzią będzie wówczas dwuwiersz *Służb miejskich*: „Pomyliłem szyk, i ten nowy/wydawał mi się piękniejszy”.

Paweł Majerski

Piotr Sommer, *Piosenka pasterska*, Wydawnictwo Centrum Sztuki – Teatr Dramatyczny, Legnica 1999.

Jerzy Jarzębski

Afryka: śmierć i życie

O *Hebanie* piszę już po raz drugi i któryś raz już czytam składające się na tę książkę teksty. Nastraja to odbiór na nutę odmienną niż z początku: na pierwszy plan wysuwa się jedno, najsilniejsze doznanie, a znika gdzieś chęć pochwylenia wszystkiego, co ważne, oddania sprawiedliwości każdemu spośród istotnych wątków tego reportażu-autobiografii lub może reportażu-eseju czy reportażu-powieści. Dziś chęć wiedzieć raczej, co w *Hebanie* uderza najmocniej i pozostaje na dłużej w pamięci.

Heban jest czarny – cóż za banal! Czarne drewno, Czarna Afryka i wszechobecna czerń jej mieszkańców. Ale *Heban* jest czarny także dlatego, że bodaj więcej niż w innych książkach Kapuścińskiego jest w nim śmierci – śmierci różnorodnej: z rąk rzezimieszków i regularnych armii, z przyczyny własni plemiennych i politycznych rozgrywek. Jest też śmierć z gwałtownych, ogarniających ciało niczym płomień chorób, od ukąszeń jadowitych węży, z głodu, pragnienia i obezwładniającego, wysuszającego upału. Afryka opisana w *Hebanie* to kontynent, w którym śmierć jest blisko człowieka, nie ukrywa się w separatkach szpitali i mieszczańskich „łożach boleści” – można ją spotkać wszędzie: na ulicach miast, na drogach, gdzie grasują uzbrojone bandy, na bezkresach pustyni czy sawanny. Czai się za rogiem domu uzbrojona w palkę czy automat, ukryta jest w skażonej wodzie czy krwi chorych na AIDS, w jadzie kobry moszczącej sobie legowisko pod pryczą, w promieniach palącego słońca wysuszającego ziemię i odbierającego szansę przeżycia zbłąkanym na pustyni wędrowcom.

Nie jest to śmierć ekskluzywna, choć nie wszystkim zagraża jednakowo: białych turystów, przedsiębiorców, duchownych czy dziennikarzy czasami omija lub nie dotyczy: stoją wówczas bezradni i nie umiejący pomóc – jak ci, którzy zetknęli się z klęską głodu na nieurodzajnych i suchych płaskowyżach Etiopii czy Somalii. Omija też na dłużej dostojników młodych państw, którzy odgradzają się od niej murem świeżo zdobytego bogactwa. Wszyscy jednak od czasu do czasu stają przed nią odarci ze swych przywilejów – czy to przez zbrojny przewrót, czy przez agresję przyrody albo bunt własnego organizmu.

Ta bliskość śmierci, jaką Kapuściński ukazuje nam w *Hebanie*, nie wynika z autorskiego delektowania się „sytuacjami granicznymi”, z epatowania niebezpieczeństwami, jakie czyhają na podróżnika zwiedzającego Afrykę. Życie ludzkie na Czarnym Łądzie jest po prostu inne niż w Europie czy Ameryce, bardziej nagie, bezbronne, poddane tyranii natury i tyranii ciemnych namiętności, które tak łatwo budzą się w zbiorowościach wystawionych na rażąco przemiętą – warunków egzystencji, systemu władzy i organizacji społecznej, wreszcie technicznego uzbrojenia. Ludzie w Afryce nie sporządzili sobie jeszcze ochronnych kokonów złożonych z prawodawstwa, obyczaju, systemu różnorodnych technicznych zabezpieczeń, pozwalających Europejczykom łatwiej żyć i przechodzić bezkrwawo kryzysy, które w Etiopii, Liberii czy Rwandzie domagają się natychmiastowej i nieuniknionej daniny krwi. Afryka jest więc w swoich kryzysach i konwulsjach patetyczna – nieczym nasza europejska, oczekująca posoką historyczną przeszłość. Pełno tam konfliktów, których rozwiązać się właściwie nie da – jak tego w Rwandzie – konfliktów przeto tragicznych, nieczym w antycznym teatrze. Nie zna za to jeszcze Afryka dwudziestowiecznych fabryk śmierci – tam wroga zabija się wciąż własnymi rękami, stojąc z nim twarzą w twarz i patrząc mu prosto w oczy.

Patos Afryki jest również, a może przede wszystkim, patosem wielkiego a zawiedzionego marzenia: marzenia o wolności i niepodległości. *Heban* kreśli historię tego snu, który – jak każdy wielki sen o lepszej przyszłości – miał spełnić wszystkie jawne i ukryte marzenia ludzi: dać im swobodę, dobrobyt, sprawiedliwe rządy, a nade wszystko – zrekompensować Afrykanom wieki poniżenia, znoszonego w służbie białego człowieka. Ale sen o lepszym świecie wykolcił się wkrótce, uwolnieni Afrykanie umieli bowiem tylko jedno: naśladować kolonizatorów w tym, co było w nich najgorsze, na drugi dzień po odzyskaniu wolności ruszyli więc do walki o władzę i dominację, a w samej rzeczy – o zajęcie miejsca zwolnionego przez brytyjskich, belgijskich czy francuskich funkcjonariuszy władzy i administracji. Kapuściński pokazuje ten proces na przykładzie osobliwych i smutnych losów Liberii, ale łatwo wskazać podobne zjawiska w wielu innych, świeżo wyzwolonych krajach. To wyzwolenie nie przyniosło Afryce ziszczenia marzeń – więcej zresztą było w tych marzeniach mitologii niż realistycznych przewidywań. Ale ruch społeczny ku wyzwoleniu (czy to w Europie, czy w Afryce) musi karmić się mitami – nigdy inaczej nie zdola porwać za sobą wszystkich mieszkańców, skłonić ich do podjęcia ryzyka, rzucenia na szalę własnej krwi lub życia, wyobrażenia sobie tego, co niewyobrażalne – czyli odejścia w niesławie wszechpotężnego Białego Człowieka.

Mit zatem rozwiewa się niedługo po ziszczeniu marzeń o wolności – na jego miejsce pozostaje coś znacznie bardziej skomplikowanego i, niestety, bliższego rzeczywistości, to znaczy wyzwolone w ostatnich latach kolonialnego jarzma mechanizmy robienia kariery, zdobywania władzy, organizowania zbrojnych przewrótów. Kolonizatorzy – jako spadek po swych autorytarnych rządach – zostawiają w dawnych koloniach armię: u schyłku kolonialnych czasów pełną już młodych, żądnych wybicia się podoficerów- autochtonów, a do tego nie najgorzej, po europejsku uzbrojoną. Ta armia będzie nie tylko symbolem samostanowienia, ale też zaczynem kolejnych zamachów stanu, narzędziem terroru i siewcą śmierci. Kapuściński pokazuje bardzo precyzyjnie, jak z tych czynników – z dodatkiem waśni plemiennych – ulegnąć się mogą reżimy tak mordercze i zwyrodniałe, jak ten Idi Amina w Ugandzie.

Kolejnym spadkiem po kolonizatorach jest w Afryce podział terytorium na państwa, których granice wytyczone zostały przez Europejczyków i które zamknęły w swym obrębie różnorodne ludy – po wyzwoleniu skazane na siebie i często pozostające w stanie nieustannej wojny – jak Tutsi i Hutu w nieszczęsnej Rwandzie i Burundi lub rozliczne plemiona żyjące na terenie Nigerii. Kapuściński analizuje sytuację w tych krajach, pokazując nieuchronność konfliktów, ich podłoże ekonomiczne, społeczne i źródła tkwiące w tradycji. *Heban* jest więc „czarny” także jako książka o tragediach i śmierci, która nie wynika z czyjejś złej woli, ale z nagromadzenia fatalizmów, na które nie ma łatwego lekarstwa – tak jak niepodobna prostą interwencją z zewnątrz usunąć głodu w Etiopii czy epidemii AIDS w Kongu.

Od takiego mrocznego obrazu Afryki nie potrafimy uciec. W naszych oczach potęguje go jeszcze szczególny, reporterski ogląd wydarzeń na tym kontynencie. Reporter dąży mianowicie tam, gdzie czeka nań *news*, wiadomość, którą można umieścić na pierwszej stronie gazety lub w czółówce telewizyjnego dziennika. Takimi wiadomościami są zawsze doniesienia o kolejnych przewrotach, politycznych przesileniach, masowych rzeziach lub spektakularnych klęskach żywiołowych. Reporter siłą rzeczy nagłaśnia więc głównie to, co jest w życiu kontynentu rodzącą zniszczenie i śmierć konwulsją. W latach sześćdziesiątych *news* to było jeszcze – odzyskanie przez ten czy ów kraj niepodległości, wielki wybuch społecznego entuzjazmu, pojawienie się wybitnych przywódców. Dziś Afryka daje znać o sobie przede wszystkim katastrofami – politycznymi i humanitarnymi, co wzmaga czerni obrazów, z jakimi na co dzień obcujemy.

Heban odkrywa więc owo nieuchronne mrocznienie obrazu Afryki, na które skazuje nas polityczny jedynie ogląd sytuacji na kontynencie. Ale Kapuściński nie byłby wielkim reporterem, gdyby poprzestał na wizji, której treść podpowiada interes wielkich agencji prasowych. Tak, oczywiście, robi wszystko, aby znaleźć się jak najprędzej i często z narażeniem życia w miejscach, gdzie rozgrywają się polityczne dramaty. Typowym sprawozdaniem z tego rodzaju niebezpiecznej i emocjonującej reporterskiej wyprawy jest rozdział poświęcony przewrotowi w Zanzibarze. Ale autentyczna miłość Kapuścińskiego do Afryki każe mu też zbaczać ze szlaków utartych przez dziennikarzy i docierać do miejsc nawiedzanych rzadziej, w których objawia się codzienność mieszkających tam ludzi. W ten sposób na czarnym tle *Hebanu* pojawia się ni stąd, ni zowąd oszalamiący koncert barw, którymi atakuje Afryka kogoś, kto chciałby przeżyć w niej pełnię zmysłowych doznań, dotrzeć do przeciętnych ludzi, żyć ich życiem, wdychać zapachy i kosztować smaki niedostępne z reguły dla Europejczyka. W ten sposób możemy wraz z autorem sprawdzić na własnej skórze, jak mieszka się białemu w murzyńskiej dzielnicy nigeryjskiego Lagos, poznać życie codzienne w senegalskiej wsi Abdallah Wallo i legendarne targowisko w Onitshy, uczestniczyć w nabożeństwie w Port Harcourt i zajrzeć do saharijskiej oazy, a wreszcie także – przejechać pociągiem dystrans pomiędzy Dakarem i Bamako w towarzystwie barwnej jak afrykańska przyroda Madame Diuf, robiącej cały czas interesy i napelniającej przedział górą okazjonalnych zakupów.

W Afryce bowiem śmierć jest bliżej człowieka, rzec można, bliżej niego jest także życie, jego pulsujący, nie zamierający nigdy rytm. Odmienność tego życia od europejskich standardów, jego bujność, a zarazem swoista absurdalność – z naszego punktu widzenia – niektórych jego form sprawia, że przeciętny turysta z zewnątrz wycofuje się często w swoją *splendid isolation*, staje się jedynie ostrożnym obserwatorem, kryjąc się w oazach ekskluzywnych hoteli i unikając lękliwie kontaktu z tubylcami. Reporterowi tego czynić nie wolno, jeśli jego relacja ma naprawdę cokolwiek przekazywać z syntetycznego obrazu Afryki. *Heban* jest więc w tej samej mierze reportażem politycznym, co historią spotkań autora z Afrykanami. I jeśli tę pierwszą historię buduje i organizuje w czasie kalendarz wielkich wydarzeń z życia kontynentu, o tyle druga jest swoistym pamiętnikiem i rozwija się

w rytmie autobiografii, w której każde nowe spotkanie nakłada się na te poprzednie i buduje nie tylko panoramę Afryki, ale także przemienienia wewnętrznie autora relacji.

Podróże po Afryce są dla Kapuścińskiego jednym z najważniejszych doświadczeń życiowych, zmieniają jego stosunek do świata i obraz własnej osoby. Doświadczenie czarnej Afryki jest dla podróżnika także doświadczeniem siebie – jako białego, a więc Obcego i Odmiennego, a też – jako potomka rasy niszczycieli i oprawców, którzy okaleczyli i zdevastowali cały kontynent. Biały człowiek – jeśli tylko stać go, jak Kapuścińskiego, na uczucie empatii wobec napotykanych ludzi – musi w Afryce czuć na sobie ciężar odpowiedzialności za minione zbrodnie i za stan dzisiejszy tamtejszych ziem i ludów. Znaczący to tyle, że nie można w tej krainie być nie zaangażowanym obserwatorem z zewnątrz: przygoda Afryki albo wciąga osobiście i do głębi, albo nie ma jej wcale. A owo osobiste przeżycie jest jednocześnie przeżyciem psychologicznym, moralnym, a także – może przede wszystkim – somatycznym. Ten, kto Afryki doznaje, doznaje jej, by tak rzec, całym ciałem i wszystkimi zmysłami, ociera się w tej samej chwili o burzę życia i o groźbę śmierci; obydwie bieguny są w tym doświadczeniu stale i dotykalnie obecne, a autor *Hebanu* boryka się z nimi to walcząc z malarią lub z rozwścieczoną kobrą, to znowu czekając w saharyjskim upale na cud ocalenia po defekcie ciężarówki.

Śmierć jest zatem w *Hebanie* wszechobecna, ale w zasadzie jako druga strona, rewers i dopełnienie życia – w jego najpierwotniejszej, najbardziej elementarnej, więc i najpodatniejszej na zagrożenia formie. Kapuściński, pisząc tę *summę* swoich wędrówek, przygód i przemyśleń na temat Afryki sięgnął raz jeszcze – jak we wszystkich swoich najlepszych książkach – po formułę autobiograficzną, w której podróż jest życiem-podróżą, a namysł nad przeżytym staje się od razu filozoficznym rozważaniem o sensie egzystencji. Ludzie w Afryce dorabiają się tu i ówdzie – żyjąc coraz lepiej i godniej, tak jak na przykład barwna i ekspansywna Madame Diuf z Bamako. Ale w wielu, zbyt wielu regionach kontynentu życie ludzkie jest bliskie biologicznemu trwaniu – jakby na przekór skrajnej nędzy i szalejącej wokół głodowej śmierci. I właśnie dotknięcie owej nikłej granicy między istnieniem i nieistnieniem wyzwala filozoficzny namysł. Ludziom na krawędzi egzystencji od Europejczyków należy się przynajmniej to minimum, jakim jest zrozumienie, a z nim jest często najtrudniej. Posłuchajmy autora *Hebanu*:

Będąc w Afryce, Europejczyk widzi tylko jej część – zwykle jedynie zewnętrzną powłokę, często zresztą nie najciekawszą i może najmniej ważną. Jego wzrok ślizga się po powierzchni, nie przenikając dalej i jakby nie wierząc, że za każdą rzeczą może kryć się jakaś tajemnica i że ta tajemnica jest również w niej. Ale kultura europejska nie przygotowała nas do tych wypraw w głąb, do źródeł innych światów i kultur. Dramat kultur bowiem – w tym również europejskiej – polegał w przeszłości na tym, że ich pierwsze wzajemne kontakty były najczęściej domeną ludzi najgorszego autoramentu – rabusiów, żołdactwa, awanturników, przestępców, handlarzy niewolników itp. Zdarzali się, rzadko, i inni – poczciwi misjonarze, zapaleni podróżnicy i badacze, ale ton, standard, klimat, tworzyła i nadawała wiekami międzynarodówka drapieżnej holoty.[...] W wyniku takich doświadczeń kultury – zamiast wzajemnie poznawać się, zbliżać i przenikać – stawały się wobec siebie wrogie, w najlepszym razie – obojętne.

Książka Kapuścińskiego – zwińczenie tyloletniej i trwającej nadal jego przygody z Afryką – jest napisana z pewnością przeciw owej zabójczej obojętności, uczy rozumieć ten wciąż tajemniczy ład w jego odmienności, a także w różnorodności, która przekreśla zbyt prostą formułę. „Afryka to tysiące sytuacji – pisze autor. – Najróżniejszych, odmiennych, najbardziej sobie przeciwnych. Ktoś powie: – Tam jest wojna. I będzie miał rację. Ktoś inny: – Tam

jest spokojnie. I też będzie miał rację. Bo wszystko zależy od tego – gdzie i kiedy”. Tego „gdzie” i „kiedy” w *Hebanie* jest bardzo wiele, Kapuściński nie opowiada bowiem żadnej spójnej, chronologicznej i umiejscowionej wzdłuż osi jednej tylko podróży historii-fabuli. *Heban* jest serią wglądów dokonywanych w różnych miejscach i różnych czasach; można rzec, iż różnorodność jest jego kompozycyjną zasadą, bo – podobnie jak *Imperium* – traktuje o zjawisku zbyt wielkim, by można udawać, że da się je włączyć w jedną, konsekwentną, spuentowaną opowieść. Opowieści jest więc w książce Kapuścińskiego wiele – tak jak wiele stosowanych przez niego poetyk: od klasycznej relacji podróźniczej, reportażu politycznego, reportażu z pola walki lub klęski żywiołowej do portretu, noweli, wykładu czy przypowieści. Reporterski styl autora *Hebanu* wchłania po prostu wielość innych stylistyk, odwzorowując w nich różnorodność opisywanego świata i różnorodność sposobów jego doświadczania, pozostaje jednak zawsze sobą. Tym stałym punktem zda się czytelnikowi osobowość narratora tych historii, jego poczucie moralne, ciepły, pełen zainteresowania stosunek do Innych, wreszcie – pragnienie zrozumienia. Bez tych walorów nie mógłby powstać *Heban* – i zapewne żadna z pozostałych książek Ryszarda Kapuścińskiego.

Jerzy Jarzębski

Ryszard Kapuściński, *Heban*, Czytelnik, Warszawa 1998.

Jerzy Gizella

„Rachunek naszych słabości”

W drugim tomie *Dzienników*, obejmującym lata 1970 – 1997, Andrzej Kijowski prezentuje się nadal jako pisarz zanurzony po uszy w pozorowane i towarzyskie układy środowiskowe, ale już naznaczony piętnem buntownika. Przed popadnięciem w większe tarapaty chroni go zarządzana przez chimerycznego prezesa ZLP Iwaszkiewicza redakcja „Twórczości”, tolerująca współpracę swojego pracownika z „Tygodnikiem Powszechnym” i „obskuranckim katolicyzmem” Jerzego Turowicza, jak zwykli z przekąsem określać krakowskie pismo trzeźwi i postępowi, a jeszcze nie spiskujący otwarcie przeciw władzy, intelektualiści z Krakowskiego Przedmieścia.

W tej typowej i patowej po marcu 1968 roku sytuacji, pełnej wyrafinowanej gry z cenzurą i towarzyskich przepychanek, grudzień 1970 jawi się jak wydarzenie z innego wymiaru rzeczywistości. W zapisach *Dziennika* nie znajdziemy ani śladu przełomu, ani głębszych refleksji nad rozmiarami tragedii. Okres ten wyparował z naszej literatury, tak jak i większość poprzednich i późniejszych „przełomów”, czy buntów wobec narzuconych siłą rządów komunistów. O schizofrenii życia duchowego tego czasu – a przejawów tej choroby nie brakuje – może świadczyć choćby rutynowa wyprawa Kijowskiego na spotkanie autorskie do Szczecina, w dwa tygodnie po tym, jak ciężarówkami wywożono ciała zabitych przed KW w centrum miasta. Na spotkaniu w bibliotece ludzie siedzą z pustymi oczami i nie bardzo rozumieją, o czym to prawi pisarz ze stolicy. Brzmi to może niewiarygodnie, ale Kijowski po prostu nie wie, co tam się działo! I trudno tę jego niewiedzę tłumaczyć wyłącznie atawistycznym żalem do robotników (czyli SB przebranej za górników i hutników) po marcowym spektaklu nienawiści.